



BIURO
WYCINKÓW
PRASOWYCH

Warszawa
Pl. Starynkiewicza 7
Tel. 28-59-59

BŁEKITNY POTWÓR

WIADOMOŚCI

WROCŁAW, ul. PODWALE 62
wydanie

25 — 27 — 06-1971

Nr z dn.



Potworność do śmiechu

ZACZNIJMY od tego, że w ostatnich latach daje się obserwować w repertuarze Teatru Polskiego pewną dosyć wyraźną dążność wprowadzania na sceny polskie tekstów dramatycznych, uprzednio im nie znanych. Na przestrzeni ostatnich pięciu lat naliczyłem 12 prapremier. To niemało, choć chciałoby się więcej. Nie wszystkie one są jednakowej wagi. Obok „Thermidora” Przybyszewskiej, „Medea z Mbon-

go” Kyrklunda czy obecnie „Błękitny potwór” Gozziego. Można zgodzić się także z tym, że część tych inscenizacji podyktowana została potrzebami okazjonalnymi, ale przecież nie to jest najważniejsze, lecz płynące stąd dla polskiego teatru skutki. Sądzę, że można to uznać za znaczne osiągnięcie teatru.

„Błękitny potwór” Gozziego jest sztuką bardzo daleką od doskonałości. Gozzi nie wykazał się w niej ani nadmiarem dramatopisarskich umiejętności, ani zbyt wyrafinowanym smakiem. Stłoczenie w jednym utworze tylu postaci, realistycznych obok baśniowych i komicznych obok tragicznych oraz uwielbianie ich w dość sensacyjne sytuacje, budzi uczucie pewnego niesmaku. Mamy tu więc płciowo nie zrównoważoną, pochodzącą z nizin żonę króla Nankinu, oszukującą zinfantylnego męża, mamy sentymentalnego i plakiwego, straszącego odrażającym wyglądem potwora obok dwu nekających miasto straszyci, niesytych krwi dziewczęcej, wreszcie parę kochanków wzorowanych na Tristanie i Izoldzie. To już wystarczająco wiele, ale to dopiero połowa, bo

mamy tu jeszcze cały zestaw postaci typowych dla commedii dell'arte. Połączenie tych dwu grup postaci daje efekty dość podobne do tych, jakie mogłyby wynikać z zespolenia izawego melodramatu z pieprzonym kabaretem; jest ono jednak o tyle cenne, że dzięki niemu staje się w pełni zrozumiałe dlaczego ten typ komedii cieszył się w Italii niegasnącą popularnością przez z górą 200 lat. Ta grupa postaci bowiem jest autentycznie komiczna, a rozpisane między nie teksty, naszpikowane aktualnymi aluzjami. Ta aluzyjność musiała zaś być jeszcze dosadniejsza dawniej, gdy teksty były improwizowane.

W tej sytuacji reżyser obrał jedynie słuszną drogę takiego ustawienia aktorów, by grali „obok roli”, by każdą przesadnie pompatyczną lub sentymentalną mielinę pointowali jaskrawo akcentowanym dystansem, a zbyt serio zarysowane sytuacje, rozładowywali wyraźnym zaznaczeniem gry.

Nie zdołał jednak reżyser ustrzec się błędów płynących głównie z niekonsekwentnego stosowania przyjętej

zasady. Owa niekonsekwencja dotknęła szczególnie tytułowego potwora Zelou. Był on stanowczo zbyt serio, zbyt dramatycznie przeżywał swoją powiklaną sytuację, zbyt poważnie traktował swoje moralizowanie. Większość winy za to spada na reżysera, choć Janusz Pešek też mógł zło zaradzić, nawet wbrew woli reżysera. Potrzebny wydaje się, był tu komizm, zbudowany ze zderzenia dramatycznych przeżyć z ironicznym komentarzem aktorskim, właśnie w przypadku tej postaci. Tym łatwiej o to wyobrażenie, że w kilku innych przypadkach dało to szczerze humorystyczne efekty. Szkoda tylko, że nawet tam, gdzie zostało to wyraźnie zamierzone, zdarzały się „wypadnięcia” z konwencji. Tak było np. w przypadku Krzesiśławy Dubielówny, której pełny efekt udało się uzyskać tylko w scenie pojedynku z Żelaznym Rycerzem.

Druga poważna pretensja odnosi się do inscenizacji. Wydaje się, że Giovanni Pampiglione, zniewolony być może szczególniejszą atencją do kultury swojej ojczyzny, potraktował tekst z przesadnym pletyzmem. Dzięki temu,

przynajemy, zachował rzeczywistą intencję Gozziego, który w walce z oświeceniowymi prądami umyślnie zmieszał ze sobą wątki dramatyczne i moralizatorstwo z motywami komicznymi ludowej commedia dell'arte, dążąc jednocześnie do jej odrodzenia. Niestety, współczesna inscenizacja domagała się ołówkowej interwencji, szczególnie w partiach moralizatorskich. Oszczędzenie ich spowodowało, że widowisko często traciło tempo, nadmiernie rozciągnięto się w czasie, a ze sceny chwilami wiało wręcz nudą.

Pośród aktorów wyróżniłbym obu ministrów króla Farfura, granych przez Andrzeja Mrozka i Józefa Skwarka oraz Ewę Kamas, jako Smeraldinę. W sumie przedstawienie jest zdrową, choć nie zawsze najwyższej próby zabawą.

Mnie osobiście najwięcej zabawił, dostarczając nieco złośliwej satysfakcji, pewien pozasceniczny incydent, polegający na tym, że gęsto padających ze sceny sprośności, wysłuchaty dwie siedzące za mną w pełnym umundurowaniu zakonnice.

O tempora, o mores!

MIECZYŚLAW DZIEDZIC